

Cetner, Antoni

Wspomnienia pruszkowiaka - dziwne są losy ludzkie!

Przegląd Pruszkowski nr 1, 60-70

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Od pradziadka moja rodzina
mieszkała w Warszawie.
Ojciec, Zenon, za walkę
z caratem o wolność
i socjalizm siedział w 10
pawilonie Cytadeli oraz dwa
lata w więzieniu w Radomiu,
później został zesłany
do Saratowa bez prawa
wydalania się z miasta przez
dwadzieścia lat.*

WSPOMNIENIA PRUSZKOWIAKA — DZIWNNE SĄ LOSY LUDZKIE!

Matka z pomocą późniejszej prezydentowej, pani Wojciechowskiej, pojechała do ojca z kilkorgiem dzieci (z iloma nie wiem, bo jeden z braci zmarł w czternastym roku życia).

Było nas jedenaścioro – osiem siostr i trzech braci. Ja byłem jedenastym dzieckiem. Urodziłem się nad Wołgą w mieście Saratow w 1914 roku. Ojciec wychowywał nas w duchu patriotycznym. Z dziećmi Rosjan rozmawialiśmy w ich języku, ale w domu wolno było mówić tylko po polsku. Ojciec, pomimo zesłania, mówił bardzo dobrze o Rosjanach.

Do Polski wróciliśmy w 1921 roku – było nas wtedy trzy siostry i dwóch braci. Przez rok mieszkaliśmy koło Kalina na wsi w niewielkim pokoju, a tam w zimie zamarzała woda w kublach. Ojciec mieszkał u mamy siostry w Warszawie przy ulicy Żelaznej 48. Mimo dużych trudności dostał mieszkanie w Pruszkowie przy ulicy Bolesława Prusa. Mieszkaniem była wielka facjata w drewnianym domu.

Gdy miałem czternaście lat przeprowadziliśmy się do domu przy ulicy Stalowej 10. Jako młody chłopiec byłem ministrantem w kościele

pod wezwaniem św. Kazimierza w Pruszkowie. Proboszcz tej parafii, ks. Edward Tyszka, za swą działalność podczas okupacji w czasie II wojny światowej jest zapisany złotymi zgłoskami w książce pt. „W cieniu Warszawy”. Później byłem harcerzem w 9. i 14. Drużynie Mazowieckiej pod rozkazami drużynowego, druha Kamińskiego. Z tych czasów harcerskich pamiętam druhów: Kamińskiego, Ukleskiego, Wargenau, Sitarka i wielu innych, którzy potem odznaczyli się w walce z okupantem.

Po ukończeniu czternastu lat wstąpiłem do towarzystwa gimnastycznego „Sokół”. Po rozwiązaniu dorosty* zostałem przydzielony do starszych „Sokoła”. Wśród kolegów zasłużyłem na zaufanie, ponieważ we wszystkich organizacjach powierzano mi funkcję skarbnika. Gdy miałem szesnaście lat należałem do POW, przez to nabyłem prawa do wyboru broni w wieku poborowym (dwadzieścia jeden lat).

Ojciec, gdy doszedł do wieku emerytalnego (przed wojną), otrzymywał rentę polityczną 150 zł miesięcznie jako były więzień polityczny. Po wojnie miał rentę 95 zł. Rodzice żyli po 85 lat.

Służbę wojskową odbyłem w Baonie Saperów Mostowych w Kazuniu koło Modlina i tam ukończyłem szkołę podoficerską.



Autor wspomnień

Pierwszego września 1939 roku byłem zmobilizowany (rezerwa) w Kazuniu. Drugiego września wykryliśmy w Kazuniu niemieckie składy amunicji oraz nadajniki nadawczo-odbiorcze. Gdy byliśmy przy drodze do Modlina schwytaliśmy Niemca nadającego lusterkiem sygnały dla lotników. Trzeciego września byłem z informacją w Warszawie na Saskiej Kępie i po raz ostatni odwiedziłem brata Romana, który mieszkał na ulicy Siennej, naprzeciw domu Grinbergów. Pragnę wspomnieć, że Roman, starszy ode mnie o siedemnaście lat, w czasie I wojny światowej służył w armii carskiej w stopniu sotnika. Na front jechaliśmy nocami, a dywersanci niemieccy w pobliżu lasów ostrzeliwali nas.

Etap wojenny – to Świdry Małe koło Otwocka, odbudowa przęseł i przyczółka mostowego, zburzonego przez lotnictwo niemieckie. Jako dobry pływak wytyczałem kładkę przez rzekę. Po nieprzespanych trzech nocach usnąłem – byłem tak zmęczony, że nie słyszałem bombardowania. Gdy się obudziłem – most znów był zniszczony.

Podczas nalotów na kolumny samochodów w Lasach Janowskich miałem furazerkę (helmów nie mieliśmy) posiekaną odłamkami bomby lotniczej, a sam nawet nie zostałem draśnięty. W pobliżu mnie został zabity jakiś kolejarz, który szedł z żoną i córką oraz trzech żołnierzy. Pięciu żołnierzy było rannych. Jeden Żyd, nazwiskiem Zagórski, miał rozwaloną jamę brzuszną oraz pokiereszowaną twarz. Nie byłem sanitariuszem, ale będąc kilka lat w harcerstwie oraz POW, nauczyłem się opatrywać rany. Najbliżej mnie był ranny w kolano Żyd „Akserlog” i gdy chciałem mu opatrzeć ranę, to powiedział: „Antek ja jestem mniej ranny, pomóż najpierw tamtym czterem”. I to było prawdziwe bohaterstwo, dlatego tyle lat pamiętam jego nazwisko. Całą piątkę opatrzyłem bandażami bez niczyjej pomocy. Do drogi było około pięćdziesięciu metrów, a rannych pomógł mi przenieść Zenon Jarczewski (umarł w obozie jenieckim), również mieszkaniec Pruszkowa.

Na szosie zatrzymaliśmy samochody osobowe, w których umieściliśmy rannych. Wsiadł tam również Zenon Jarczewski, a ja jechałem z tyłu na zapasowym kole i wtedy chyba w życiu najwięcej się bałem tej jazdy po kocich łbach. Nie pamiętam nazwy małego miasteczka,

do którego dowieźliśmy rannych. Lekarz nie chciał się nimi zająć w obawie przed Niemcami. Spełnił jednak swój obowiązek – obmył w komórcie rany i z pomocą pielęgniarki założył fachowo opatrunki. Zenon Jarczewski sprowadził sanitarkę, która zabrała rannych do szpitala, po drodze jednak trzech z nich zmarło.

* * *

Widziałem atak naszej kawalerii na czołgi niemieckie. Czołgiści opuszczali czołgi i uciekali, lecz gdy się opamiętali, dali takiego łupnia, że rozszalałe ze strachu konie tratowały wszystko co im stało na drodze.

Niewiele mieliśmy saperskiej roboty. W dzień kolumna ostrzeliwana przez lotnictwo, a w nocy przez dywersantów. Przy jednym z nalotów lotnictwa leżałem przy działku przeciwlotniczym, nie bałem się śmierci, a modliłem się tylko, żebym nie został kaleką i ten uraz przed kalectwem pozostał mi na całe życie.

Nasza jednostka saperska pod wodzą majora Mecugowa działała w Garwolinie, Otwocku, Janowie Lubelskim, Tomaszowie Lubelskim, Krasnobrodzie, Biłgoraju, Frampolu, Józefowie. Orientacji terenowej prócz dowódcy i kierowców nie mieliśmy, bo jeździliśmy tylko nocą przy zgaszonych światłach. Już po rozbiciu jednostki saperskiej walczyliśmy na bagnety pod dowództwem porucznika Dorobka (był w Kazuniu zaopatrzeniowcem i inni oficerowie wyśmiewali go, że będzie walczył grochówką), który okazał się prawdziwym dowódcą bohaterem, inni oficerowie gdzieś znikli.

Było nas w ostatnim ataku na bagnety (dowodził ranny porucznik Dorobek) stu dwudziestu, a wróciło tylko trzydziestu, w tym kilku rannych – wtedy dowódca dał nam wolną rękę, czyli „ratuj się kto może i jak może”.

Reszta niedobitków zatrzymała się w leśniczówce. Leśniczy przyjął nas gościnnie, kazał wylapać kury, a zostawić jedynie dwa koguty i nie chciał od nas zapłaty. Po godzinie leśniczówka została zbombardowana. Kilka kilometrów dalej, w lepiance, ugotowałem rosół na kurze i żywiłem się tym przez następne dwa dni.

Po drodze spotykałem sporo żołnierzy bez broni, ale sam, mając nadzieję dołączenia do innego zorganizowanego oddziału, broni nie porzuciłem.

Gdzieś w pobliżu Zamościa dostałem na wsi mleko i chleb oraz propozycję, ażebym przebrał się w ubranie cywilne i przeczekał do czasu wyjaśnienia sytuacji. Po godzinie pojawiło się tam pięciu żołnierzy z 85 dywizji śląskiej. Pomagałem im w zakupie chleba i mleka. Wkrótce przybył oddział niemiecki. Chciałem uciec, ale Ślązacy nie pozwolili tego uczynić. Niemcy byli krańcowo wyczerpani, ustawili karabiny w kozły i kładli się na ziemi, mówiąc, że niedaleko stoją ich czołgi, nie mają jednak benzyny. Złamałem bagnet „Lebella” i wyrzuciłem zamek z karabinu. Niemców w ogóle to nie obchodziło. Ślązacy pokazali jakieś legitymacje. Niemcy powiedzieli im dokąd mają iść, a mnie oddali pod ich nadzór. Było to dwudziestego drugiego września.

Pierwszy etap naszej podróży to Zwierzyniec. Tam, w szkole, tłumy jeńców, płaciliśmy po 3 zł za kawałek pieczonego psa. Dalszy etap to Biłgoraj, Przeworsk, Łańcut. Przy transporcie spotkałem Bogdana Jakubowskiego z Pruszkowa, podzieliłem się z nim lojem, który jedliśmy, popijając wodą, a gdy w następnym dniu postarałem się o chleb, loju już nie jedliśmy, taki był słony.

Załadowano jeńców do pociągu i przewieziono nas do Bielska-Białej. W drodze na postoju chciałem uciec, lecz mnie schwytali i chcieli powiesić. Do dziś pamiętam „smak” sznura na szyi. Oficerowi niemieckiemu znającemu język polski powiedziałem, że oddaliłem się w poszukiwaniu chleba i to mnie ocaliło.

W Bielsku-Białej umieszczono nas w gmachach szkolnych – w jednym oficerów, w innych szeregowych.

Ludność cywilna na różne sposoby pomagała nam i to podtrzymywało nas na duchu.

Na drugi czy trzeci dzień Niemcy zrobili zbiórkę oficerów, a tłumaczem rozkazów był polski kapitan znający język niemiecki. Żołnierze, którzy gotowi byli iść w piekło za naszymi dowódcami, zbliżyli się,

ażebym słyszeć, co Niemcy chcą od nich, a wtedy pan kapitan odwrócił się do żołnierzy, mówiąc te słowa: „Poszli wont pętaki – tu nie dla was miejsce”. W życiu, w najtrudniejszych chwilach, nie płakałem jak wtedy.

Z Bielska-Białej doszliśmy pieszo do Cieszyna i stamtąd do Niemiec.

Opole posiada taki „piękny olbrzymi obóz”: Lamsdorf (obecnie Łambinowice). Stalag VIII-B, w którym tysiące mogił przypominają ofiary wojny i hitleryzmu. Spoczywający na tym cmentarzu to obywatele różnych narodów.

Początkowo spaliśmy pod namiotami, a naszym przykryciem najczęściej był śnieg, później przeniesiono nas do stajni, na beton. Dzielił się tam z wszami trochę słomy, którą nam dali.

Edmund Jakubowski, również z Pruszkowa, znajdował się na sąsiednim placu, oddzielonym drutami. Ponieważ byłem dość zaradny, czasami podawałem mu przez druty coś do jedzenia.

Nie zawsze jednak byłem zdrowy – cierpiałem na żołądek, zaczęło mi dokuczać serce, miałem bóle w stawach. Udzielił mi pomocy wartownik, podając chleb.

W naszym obozie Ślązak, który był jeńcem, znęcał się nad innymi bardziej niż Niemcy. Został zwolniony do cywila. Wkrótce nadeszła wiadomość, że na wolności żył tylko trzy dni, wykonali na nim wyrok patrioci śląscy.

W Lamsdorfie napisałem krótki wiersz – przytaczam jego pierwszą zwrotkę:

Niemcy chcieli korytarza,
Myśmy im nie chcieli dać.
Przegraliśmy – to się zdarza,
Jeszcze nas na odwet stać.

Od piętnastego października do piętnastego listopada 1939 roku pracowaliśmy w dużym majątku rolnym „Zimeluzt” koło Mamslau. Było nas dwudziestu, w tym dziewięciu Ukraińców. Koledzy obrali

mnie dowódcą grupy, pomimo że dwóch innych znało język niemiecki. Początkowo miałem kłopot z Ukraińcami, później jednak żyliśmy w wielkiej przyjaźni i do dziś pamiętam pięknie przez nich śpiewaną dumkę ukraińską „Iszol strilec na wijnońku” (Szedł strzelec na wojnę). Piękna pieśń.

Przy zbieraniu łątów z kartofliska nadszarpnąłem sobie prawą rękę, zostałem więc wysłany z powrotem do obozu. Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji w małym miasteczku w oczekiwaniu na inny pociąg. Na stacji siedział Niemiec z obandażowaną ręką, przy nim żona i mniej więcej dziesięcioletni synek. Niemiec przez synka przysłał mi duże bułki z szynką, a przy okazji powiedział, że był ranny na froncie w Polsce, a nasz personel medyczny dobrze się nim opiekował. Na zakończenie krótkiej rozmowy powiedział: „Ja nie będę uczył syna wrogości do Polaków tak, jak mnie uczono!”

Od trzeciego stycznia do czternastego czerwca 1940 roku pracowałem w magazynie mundurowym w Oflagu VIII-B Kreuzburg (obecnie Kluczbork). Pilnował nas sierżant niemiecki. Nie przyznawał się, że zna nasz język, nie wyciągnął jednak żadnych konsekwencji wobec nas, mimo że rozmawialiśmy na tematy polityczne. Gdy skończyliśmy pracę, pożegnał nas po polsku – i to niezłą polszczyzną.

Polscy oficerowie często dostawali paczki organizowane przez generała Osińskiego, a żołąd wysyłali do swych rodzin.

Pewien podchorąży dawał piękne koncerty na harmonijkach ustnych. Jeden z oficerów skonstruował zegar ścienny z drzewa, bez żadnych gwoździ lub sprężyn. Niemcy chcieli kupić ten zegar, on jednak zostawił go dla nas.

Był taki zwyczaj, że niżsi stopniem oficerowie niemieccy salutowali naszych oficerów pierwsi. Jedynie przy raporcie Niemiec był salutowany przez Polaka niezależnie od stopnia wojskowego.

W czasie jednej ze zbiórek oficerów i szeregowych ze zdziwieniem rozpoznałem w niemieckim aspirancie przedwojennego pracownika Ministerstwa Spraw Wojskowych. Spotykałem go, gdy odprowadzałem mego kolegę Jakubowskiego na Plac J. Piłsudskiego, gdzie

mieściło się przed wojną ministerstwo. Wycofałem się do trzeciego szeregu, on jednak poznał mnie. Po zbiórce zawołał mnie i powiedział, że przed wojną pracował w Łodzi w szkole, a później w naszym kontrwywiadzie dla Niemców. Postarał się dla mnie o chleb, masło, wędlinę i duże paczki papierosów. Jeszcze jedno muszę napisać. Spałem na drugim piętrze, a kiedyś po obudzeniu miałem pod poduszką chleb i kilka papierosów. Na każdym piętrze był wartownik, jeżeli był dobrym człowiekiem, to jeńcom pomagał. Przecież nie wszyscy Niemcy byli zbrodniarzami. Byli w wojsku i musieli wypełniać rozkazy – „Befehl ist Befehl”, czyli: rozkaz jest rozkazem.

Do Lamsdorfu przybyli pierwsi jeńcy angielscy z frontu we Francji, rzucaliśmy im papierosy opakowane w papier i obciążone kamieniem, ażeby doleciały te kilkanaście metrów dzielące nas. Niemiecka prasa napisała, że Polacy rzucają kamieniami w Anglików. Te pomówienia nie zmieniły stosunków między nami. Gdy Anglicy dostawali paczki, ich zawartością dzielili się z nami. Anglicy często siadali na trawie, a ponieważ mieli harmonię, urządzali „koncerty”.

W obozie w jednym z baraków przebywali Żydzi – początkowo byli traktowani jak inni, co się z nimi stało, nie wiem.

W Lamsdorfie wysyłano nas do różnych prac. Zorganizowałem piątkę i chodziliśmy pracować do kuchni dla żołnierzy niemieckich, tam czasem udało się ze zlewek w beczkach wyłowić kromkę chleba. Zenon Kusa z Krakowa wpadł kiedyś do połowy ciała głową w dół do wielkiej beki, gdy go wyciągnęliśmy, w rękę trzymał pół bochenka chleba, którym się z nami podzielił.

Wszędzie chodziliśmy do pracy w pięciu. Tadeusz Wołaszyn (z Krakowa, były dobry piłkarz), Zenon Kusa (z Krakowa), dwóch warszawiaków i ja z Pruszkowa.

Z Lamsdorfu dwudziestego drugiego czerwca 1940 roku przewieźli mnie do stalagu V-B-Viellingen w Szwarzwaldzie. Później pracowałem koło Frajzburga w majątku rolnym. Pracowało nas tam dziesięciu, a niedaleko, w innym majątku, dwudziestu. Kiedyś zebrano całą trzydziestkę i namawiano nas do podpisywania listy, że jesteśmy

cywilnymi pracownikami. Koledzy radzili się, co robić, ja powiedziałem, że nie podpiszę, a innym nie będę radził. W Lamsdorfie namawiałem kolegów, ażebyśmy jako katolicy nie pracowali w niedzielę, to się wydało i tylko dzięki temu, że dwaj Niemcy pilnujący nas byli dobrymi ludźmi, tylko mnie skrzyczeli. Osiągnąłem swój cel – nie chodziłem w niedzielę do pracy.

W rezultacie moich dwudziestu dziewięciu towarzyszy zrezygnowało z praw jeńców wojennych. Żalowali tego, ponieważ stracili prawo do interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Za to, że nie uległem namowom, otrzymałem „chłostę” – zostałem skazany na pobyt w obozie karnym. Dolmecz (Niemiec sudecki) o jednym potężnym ramieniu bił mocno, lecz gdy powołałem się na Führera, powiedział: „Masz dobrą głowę, teraz nawet ciebie nie mogę bić”. Muszę wyjaśnić, że przypomniałem bijącemu mnie Niemcowi, że Hitler powiedział, że z żołnierzami polskimi i oficerami niemieckimi podbiłby cały świat.

Wachman – eskortujący mnie żołnierz – odwiózł mnie rano następnego dnia do Freyburga, do koszar niemieckich i tam zaprowadził do kasyna podoficerskiego. Najmniej się tego spodziewałem, że w nagrodę za to, że nie zrzekłem się polskiego munduru, będą obsługiwali mnie Niemcy. Na pożegnanie wypełnili mój plecak i chlebak jedzeniem i papierosami, a wielu z nich podało mi rękę. Nawet wróg umiał uszanować żołnierza, choć był w innym mundurze.

Gdy znalazłem się w obozie karnym w kamieniołomach w Müncingen, zgłosiłem się do pracy w szpitalu. Komendant, którego nazywano Diabłem (nawet wartownicy Niemcy bali się go), posłał mnie do obierania ziemniaków. Po dwóch dniach przeniósł mnie do izby chorych, w której pracowałem z francuskim Żydem – dentystą, bardzo miłym i uczynnym człowiekiem.

Mieliśmy sporo pracy, ponieważ w obozie było ponad pięć tysięcy jeńców: Francuzów (głównie mieszkańców Korsyki), Żydów, a najwięcej Polaków. Ja opiekowałem się Polakami, dentysta – resztą. Dzięki temu, że znałem się na pielęgniarstwie, nie musiałem pracować w kamieniołomach czy, tak jak wcześniej, w polu.

Zanim dostałem się do obozu karnego, też pracowałem w szpitalu nieopodal Fillingen o bardzo ładnej nazwie „Wald-Hotel”. Przed wojną do tej miejscowości przyjeżdżali goście zagraniczni – Anglicy, Francuzi, Belgowie, a nawet Amerykanie.

W czasie wojny ordynatorem szpitala był major, Polak, który miał prawo wychodzić do miasta, mimo że był więźniem. Był to wybitny chirurg, Niemcy przywozili wyższych oficerów, rannych na frontach, by on ich operował. Właśnie z tego szpitala, „Wald-Hotel”, dwudziestego piątego września 1940 roku wysłano mnie do Müncingen.

W obozie tym wśród Żydów był jeden, który służył Niemcom i bardzo szkodził swoim rodakom. Żydzi mówili, że gdy wojna się skończy, on długo nie pożyje. Nie wiem, co się z nim stało.

Ponieważ, jak się okazało, byliśmy w obozie bardzo potrzebni, mieliśmy obaj (lekarz Żyd i ja) dość duże uprawnienia. Mogliśmy kierować chorych do lepszej pracy w obozie, gorączkujących pozostawiać w izbie chorych, a w razie poważniejszych zachorowań mieliśmy prawo zgłosić chorego do lekarza niemieckiego. Lekarz niemiecki czasami kierował chorego do szpitala, zdarzały się też przypadki zwolnienia chorego do domu. Udało się między innymi uwolnić mieszkańca Pruszkowa, jego nazwisko – Nowakowski. Był zniszczony fizycznie i psychicznie. Uciekał dwa razy, złapany – był bity, miał powybijane zęby. Diabeł groził mu, że skończy życie w obozie. Za moją radą narzekał na bóle żołądka, bo jak mi się wydawało, żaden lekarz tego nie zbada. Ciągłe prowadziłem go do lekarza Niemca, aż został zwolniony do domu. Złożył wizytę moim rodzicom, powiedział, że ja uratowałem mu życie. Po wyjeździe Nowakowskiego Diabeł groził mi rewolwerem i krzyczał, że skończę tu swoje życie, ale nigdy mnie nie uderzył.

Ten nasz komendant obozu musiał mieć ogromne znajomości. Nie wpuścił na teren obozu nawet niemieckich generałów, mówiąc że bez przepustki nikt nie ma prawa wchodzić na teren zamknięty.

Opiszę jeszcze dwie ciekawostki z tego obozu.

Kapral niemiecki, który nie chciał walczyć na froncie, został przysłany do naszego obozu do aresztu. Siedząc w celi, narysował węglem

drzewnym walkę samolotów. Wykonał to tak, że w celi zrobiono „muzeum” – przychodzili goście z zewnątrz, by obejrzeć te wspa- niale rysunki.

Drugi przykład też świadczy o tym, że nie wszyscy Niemcy chcieli wojny. W pobliżu obozu była piekarnia i browar. Właściciele tych obiektów, dostarczając swoich wyrobów dla personelu obozu, starali się, używając różnych sposobów, przemycić coś do jedzenia dla więź- niów. Okazało się (byłem u nich raz w pracy), że ich syn był lotnikiem i zginął w czasie nalotu na Francję. Nie czuli nienawiści do tego kraju. Mówili, że Francuzi nie prosili ich syna o bombardowanie.

Po odbyciu kary wróciłem do obozu w Willingen skąd szóstego marca 1941 roku wywieźli mnie wraz z innymi do Tribergu i tam pracowaliśmy w magazynie fabryki drutów i gwoździ. Zakwatero- wani byliśmy w młynie, na drugim piętrze, pod nami, przy murze, znajdowała się kładka metrowej szerokości, a dalej po wielkich ka- mieniach płynęła z wielkim hukiem wzburzona woda – sam widok napawał lękiem. Tu definitywnie powziąłem decyzję o ucieczce. Ze swego zamiaru zwierzyłem się organiście ze Skawiny. Dzięki jego pomocy rozszerzyłem kraty w oknie, związałem kilka prześcieradeł. W nocy osiemnastego maja 1941 roku uciekłem.

* dorosta – grupa młodzieży w wieku od lat czternastu należąca do „Sokoła”

cdn.

